

Andrzej Biernacki

Władysław Tatarkiewicz — jakim go znałem

Pisząc autobiografię Władysław Tatarkiewicz postanowił, że każdy, kto się w jego życiu jakoś zaznaczył, będzie wspomniany przynajmniej raz. Tak mi to zapowiedział. Nie mogło więc zabraknąć i Lesznowskich, przez kilka pokoleń nierozłącznych z „Gazetą Warszawską”. Jedna tylko może Halina Kiepuska, autorka zwięzłego a wyśmienitego artykułu w *Polskim słowniku biograficznym*, wie jeszcze i dziś, czym był dom Stanisława Lesznowskiego (1848—1909). Córki jego przyszły filozof, o którym tu mam pisać, uważał wręcz za swoje siostry, gdyż rodzonych nie miał.

Rozumiem to lepiej teraz niż przed półwiekiem, że skoro mnie profesorowi Tatarkiewiczowi przedstawiono u państwa Bohdanostwa Wyleżyńskich z Wielogolasu, a było to w dniu imienin pani domu (Celiny z Lesznowskich) — potraktowany zostałem od razu jako ktoś zupełnie swój.

Temu zawdzięczałem rychłe zaproszenie na Sewerynow, gdzie autor *Skupienia i marzenia* rozporządzał jednym pokojem, mieszkając wtedy w Krakowie. Emocje złożenia wizyty sławnemu uczonemu, którego ze słyszenia pamiętałem od dziecka, uspokojone zostały natychmiast: towarzyskie wyrobienie gospodarza było wspaniałe, jego umiejętność rozmowy — do podziwienia w każdych okolicznościach. Ulubionym pytaniem na początek, z którego się łatwo wysnuwały dalsze tematy, bywało zagadnięcie o wspólnych znajomych. Podjąwszy kiedyś tę metodę i odpowiadając na pytanie dotyczące mojej matki, wspomniałem jej przyjaciółkę od lat panieńskich, Wandę Romocką z Kaliskiego, osobę co się zowie urodziwą; ciekaw byłem, czy ją profesor znał. Odezwał się wesoło: Elementarne wykształcenie mam!

Profesor Tatarkiewicz miał siebie za pozytywistę, niejednokrotnie to odeń słyszałem. Nigdy się nie ośmieliłem oponować; czyż Comte zgodziłby się napisać *O bezwzględności dobra*? Inny paradoks: tradycje rodzinne (rzeźby jego dziada) oraz własne upodobania estetyczne wiodły go ku klasycyzmowi, a jednak literacki jego debiut — kilka ładnie nastrojowych wierszy, w tym jeden w „Chimerze” u Miriama — nie oparł się manierze młodopolskiej. W życiu publicznym wydawał mi się Władysław Tatarkiewicz najbliższy zawsze stoi-

cyzmu; w prywatnym, co było całkiem nieoczekiwane i nadzwyczaj przyjemne, okazywał się dużym amatorem purnonsensu: do późnych swych lat przepysśnie deklamował... Sotera Rozbickiego (1823—1876).

Błazenad współczesnych nie uważał za żarty. Człowiekiem, o którym wyrażał się z abominacją, był Tadeusz Kroński, jego przed wojną ceniony uczeń. Z tułaczki wojennej, Kroński przybył do Warszawy we wrześniu 1949 r., już jako członek Komunistycznej Partii Francji. Nie będę tu przypominał znanego szkicu Czesława Miłosza o *Tygrysie*. Ale nie mogę nie dopowiedzieć tego, co Henryk Hinz przemilczał w *Polskim słowniku biograficznym* w haśle: *Kroński Tadeusz Juliusz (1907—1958)*. Kroński zaczął od stawienia się u swego mistrza z zapewnieniem (po francusku), że się zawsze powraca do swoich wczesnych miłości, że więc napisze dysertację doktorską o Avenariusie — na co uzyskał zgodę. Tezy nigdy nie przedstawił, za to niedoszłego jej promotora wygryzł z uniwersyteckiej katedry filozofii w Warszawie, by sam ją wkrótce potem zająć. Profesor Tatarkiewicz w tamtym okresie niejednej doznał szykany. Nie darowywał jednego: zdrady zaufania. W innych razach zwykł był mawiać (za Platonem), że lepiej być prześladowanym niż prześladowcą. Jeśli brał odwet — to najwyżej tak jak na Leszku Kołakowskim: w swoich pracach zawsze dbał, by go nie pominąć w bibliografii. Wiem, co piszę.

W roku 1956 ekscesy wiceministra szkolnictwa wyższego, Eugenii Krasowskiej — używanej przez władze do usług personalnych — musiały ustać. Profesor Tatarkiewicz wrócił ze swego od kilku lat bezterminowego urlopu na uniwersytet, by objąć katedrę estetyki. Na jego wykłady z tego przedmiotu — co za wykłady! — stawiali się nie sami studenci, ale i amatorzy z miasta. Niektórzy z nich dopraszani byli także na seminaria, im również profesor powierzał krótkie referaty. Spotkać więc się dawały postaci przeróżne: a to senior artystów-fotografików, a to znany jezuita, nie mówiąc o literackim narybku (oczywiście spoza kręgu „pryszczatych”). Dawna to była tradycja, przedwojenna; w dwudziestoleciu 1918—1938 słuchaczami Tatarkiewicza byli późniejsi pisarze, nawet tak odlegli od filozofii jak Minkiewicz! I teraz też: siedemdziesięcioletni już profesor był wśród nas — duchem i usposobieniem najmłodszy.

Poniektórzy dostępowali przywileju przejścia z mistrzem na stopę towarzyską, zapraszał ich do siebie. A w takim razie — po jakimś czasie — uważał, że z jego strony pora, by złożył rewizytę. Kiedy na mnie przyszła kolej, rzekł mi tak: Młodzi myślą, że stary profesor lubi spotykać innych profesorów. Owszem, lubi. Ale może na ten podwieczorek zaprosiłby pan kilka młodych pań? Postarałem się, ile tylko mogłem. Do jednej z nich przy powitaniu dostojny mój gość zwrócił się ze słowami: Pamiętam jak dziś — ślub pani babki. Jakiż był rad! Że moją znał i pra-prababkę, tośmy obydwaj wiedzieli od dawna. Koligacje osób ze swego otoczenia pamiętał prawie tak samo jak własne; z jego wspomnień znać, że się nie bez przyjemności zastanawiał, jakie cechy po której gałęzi swoich przodków dziedziczył. Uczył, jak cenna jest więź z poprzednikami.

Cechą bardzo, jak sądzę, znamioną profesora Tatarkiewicza była — tam, gdzie jest ona możliwa — lojalność. Przywiązywał duże znaczenie uniwersyteckim obyczajom. Spodziewał się, że przy wyborach dziekana Wydziału Humanistycznego (przed wojną) tocząca się kołem fortuna i na niego trafi. Ale cóż, opowiadał mi, kolega Handelsman tak się był zasiedział w tym fotelu, tak mu tam było do twarzy, żeśmy mu tę godność pozostawili niemal bez końca. Nie miał o to do nikogo żalu, zbywał sprawę żarcikiem.

Inna była sprawa za powojennych już czasów z profesorem Tadeuszem Dobrowolskim. Ten z Krakowa zasłużony historyk sztuki zrobił Tatarkiewiczowi pewne wydawnicze — co tu mówić — świństwo. Dostałem do wglądu potrzebne dokumenty i zostałem przez pokrzywdzonego upoważniony do dziennikarskiej interwencji. Szło o książkę, w której Dobrowolski pominął Tatarkiewicza jako współredaktora. Atak mój w „Twórczości” był bezpardonowy, jego echo doszło do Uniwersytetu Jagiellońskiego; badano tam opisany przeze mnie incydent długo, tak długo, że przyznany już profesorowi Tatarkiewiczowi doktorat honorowy został na czas jakiś wstrzymany i promocja odbyła się z wielomiesięcznym opóźnieniem; tym zresztą wspaniałej, że nie wśród innych, lecz osobno. Podziwiałem spokój, z jakim doktorant przeczekał niemiłe dochodzenie w przekonaniu, że tak właśnie stać się było powinno, tak w starym uniwersytecie się postępuje. Na pamiątkę dostałem odpis doktorskiego owego dyplomu z miłą dykacją.

Jeszcze inny epizod, do pewnego stopnia wybitnie akademicki, wiąże się w mej pamięci z awanturą polityczną na tle tak zwanego *Listu 34*, całkiem niewinnego wystąpienia grona uczonych i literatów do Cyrankiewicza z postulatem złagodzenia cenzury. Gomułka rozpętał z tej racji hecę, jak to on, partyjno-histeryczną. Domagano się, od profesorów zwłaszcza, formalnej rewokacji, którą, częściowo uzyskawszy, przesłano do prasy zachodnioeuropejskiej. Podpisał ją — niestety — Tatarkiewicz. Skłonił go do tego Henryk Jabłoński, podówczas sekretarz naukowy Polskiej Akademii Nauk. Oświadczył uroczyście zbyt łatwowiernemu koledze, że Kotarbiński i Ossowska, z tego samego, co Tatarkiewicz Wydziału, są wśród tych, co się do wezwania rządowego przychyliłi. Było to kłamstwo wierutne, kłamstwo prosto w oczy. Takie postęпки się w przyzwoitych stowarzyszeniach nie zdarzają, dlatego powiedziałem wyżej, że był to epizod tylko do pewnego stopnia akademicki. Tatarkiewicz opowiedział mi rzecz całą z obrzydzeniem i z żalem do siebie ogromnym. Dotychczas na ten temat zachowałem milczenie. Ale teraz, kiedy korespondencja Tatarkiewicza z panią Izydorą Dąmską jest zdeponowana w archiwum Polskiej Akademii Umiejętności i potwierdza moją pamięć co do joty — mam prawo o podstępie Jabłońskiego napisać.

Z żywą do teraz wdzięcznością wspominam rok 1970. Kiedy to w Państwowym Wydawnictwie Naukowym mógł profesor nareszcie doprowadzić do skutku zamiar swój od dawna ulubiony: ogłosić wybór pism polskich filozofów

sprzed wieku, na ogół umiarkowanych kantystów. Mówił o nich właśnie 18 listopada 1915 r. w swoim wykładzie wstępnym — na uroczystym obchodzie restytuowania Uniwersytetu Warszawskiego. Zbiór rozpraw *Jakiej filozofii Polacy potrzebują* wyszedł z druku jako setna pozycja serii *Biblioteka Klasyków Filozofii*. Autor wyboru i wstępu — mnie zechciał powierzyć stronę redakcyjną tekstów. Prawdę mówiąc nazwany zostałem na odwrocie karty tytułowej zbyt szumnie: byłem co najwyżej mniej więcej pojętnym aplikantem rzeczywistego Redaktora; ponieważ nie było mowy o edycji filologicznej — uczyłem się, jak sobie radzić z możliwościami (zaznaczanymi) usuwania przypisów zbędnych i skracania zdań zawile-nudnych, a to by wydobyć istotną część myśli autora. Tę zaprawę sam Tatarkiewicz zdobył, kiedy prowadził „Przegląd Filozoficzny”. Przepadał za tą robotą, jak mi powiadał, także dlatego, że mu ona dawała sposobność zaprzyjaźnienia się z przedwojennymi drukarzami. Cóż to byli za fachowcy! Z biegiem czasu umieli wypatrzeć błąd rzeczowy, nie mówiąc o poprawieniu ortograficznego błędu w źle przepisany cytacie greckim...

Trzymały się kochanego „Tatarutka” małe rozkoszne koncepty. Jeśli czasem telefonował nie zapowiadając powodu proponowanego spotkania i tylko zapraszając „w pilnej sprawie”, bywałem pewny, że czeka mnie psikus. Mogło to być na przykład zapytanie (gdy prezydentem USA został Carter), czy gdybym się zajął polityką, zacząłbym zwać się „Jędrus”? Ale najpilniejsza wątpliwość objawiła się w czas jakiś po pewnym dekrete Pawła VI. Jeszcze w hallu mieszkania swego przy Chocimskiej rozpoczął indagację, która trwała dosyć długo, kiedy już podano herbatę. Kwestia była całkiem zasadnicza: Czy aby się papież nie pomylił pozbawiając kardynałów po osiemdziesiątym roku życia prawa uczestnictwa w *conclave*?! Zapytujący ukończył był właśnie lat 90 i dopiero co napisał wyborny wstęp do dzieła zbiorowego *700 lat myśli polskiej*.

Katolikiem był profesor Tatarkiewicz karnym. Lubił teologów rozpytywać o trapiące go niekiedy zagadnienia. Trochę był skłonny obawiać się, czy Duch św. nie jest wynikiem filologicznej pomyłki starożytnych kopistów ksiąg. Wezwał natychmiast swego ucznia, dziś biskupa włocławskiego i pocieszył się dopiero, gdy ks. Bronisław Dembowski, także filozof, dał odpowiedź: Nie darmo Pismo św. wskazuje na Tajemnicę, którą jest Trójca Św.

Na ofiarowanym mi egzemplarzu dzieła *O szczęściu* mam autorską dedykację tej treści: Szczęście to dobra rzecz, ale myślenie i czytanie o nim nie jest najlepszym sposobem, aby je osiągnąć.

W czym sam profesor Tatarkiewicz upatrywał szczęście? Odpowiedź dawał raczej swym postępowaniem niż we wspomnianej dopiero co ważnej książce. Był w stosunku do ludzi serdeczny: sam na serdeczność czuły — tym bardziej jej udzielał drugim, nie krępował się tego okazać i czynem, i słowem. W tej mierze przekraczał umiarkowany ton zwyczajów zalecanych w dyplomacji europejskiej.

Marzec roku 1980 spędzałem w Lozannie, lecz przyrzekłem swój powrót do

Warszawy początkiem kwietnia, na dzień urodzin profesora Tatarkiewicza i dotrzymałem słowa. Nie wypakowując się, od razu zatelefonowałem, czy wolno przyjść z powinszowaniami — jak było umówione. Ktoś z domowników odpowiedział mi, że solenizant jest na kilka dni w szpitalu, na krótkiej obserwacji, że już chyba nawet jutro wróci do siebie. A że dziś od południa przyjmuje gości w klinice — niech może nie powiększam tłoku oraz zmęczenia. Powodu do żadnych obaw nie było.

Dowody miłości, serdeczności, życzliwości pono się jednak w pokoju rekonwalescenta przeciągnęły. Do kogoś z żegnających się Władysław Tatarkiewicz powiedział: „Przeżyłem dzień szczęśliwy”.

Nazajutrz się miałem dowiedzieć, że w nocy — nadwreżone szczęściem serce przystanęło na zawsze.